

Leon Feit
Nagrańie z 16 sierpnia 1990
Londyn

ARCHIWUM WSCHOĐNIE
skopiowane z kserokopii
z kolekcji

We wrześniu 1939 byłem jeszcze w Jordanowie, który opuściłem tego samego dnia, kiedy Niemcy wkroczyli do miasta. Via Tarnów, Jarosław, Lwów dotarłem do Tarnopola, bo to było miasto, gdzie mój brat stale mieszkał. Był lekarzem, naczelnikiem wydziału zdrowia województwa tarnopolskiego. Przyjechałem tam dokładnie 17 września rano, a po południu weszły wojska sowieckie. Po upływie kilku dni NKWD zrewidowało mieszkanie brata (mieszkała w nim bratowa z dwójgim dzieci) i zatrzymali mnie. Chcieli, żebym im dał adres brata. W rzeczywistości myśmy tego adresu nie znali, wiedzieliśmy tylko, że cały szpital i brat wyewakuowali się na Węgry. Trzymali mnie przez dwa dni - bez skutku, bo ciągle mówiłem: nie wiem.

Wtedy też odbyła się pacyfikacja miasta. Ustawili działa artyleryjskie dokoła miasta i strzelali do środka. Było to odpowiednio zorganizowane, a celem był kościół dominikański, bardzo ładny duży kościół. Kościół ten został zniszczony i szereg budynków obok niego. Komendant miasta powiedział wtedy: "Musimy pokazać, że tu jesteśmy władcami i wszelkie próby oporu będziemy tłumić". Nie wolno było nikomu nic ratować z kościoła i gasić - straż pożarna miała zakaz robienia czegokolwiek.

Byłem w Tarnopolu z moim starszym bratem Natanem. Po rozmowach w NKWD powiedzieliśmy sobie, że nie ma co tu dłużej siedzieć, bo znowu nas aresztują i pojechaliśmy do Lwowa. Z samego Tarnopola nie można było jechać, bo dworzec kolejowy był zniszczony; poszliśmy 5 czy 6 kilometrów dalej do następnej stacji. Dojechaliśmy do Lwowa. Tam mieliśmy przyjaciół i tam w ciągu miesiąca zorganizowaliśmy sobie życie, założyliśmy kooperatywę i robiliśmy frytki. O surowce było ciężko, ale brat miał przyjaciół w sferach przemysłowych. We Lwowie była rafineria tłuszczów jadalnych, brat tam pojechał, znał dyrektora, który na pytanie, czy da oliwy jadalnej - powiedział:

"Ja ci dzisiaj wszystko dam, dopóki nie przyjdą i nie weźmą, tylko nie mam transportu". Koło Lwowa była wieś Antoniówka, bardzo ładna. Swego czasu należała do zakonu jezuitów, ale jak zakon miał zatargi z Habsburgami, konfiskowali im ziemię i tę ziemię sprzedawali. I szereg ludzi z naszej okolicy, z tych wiosek podgórskich, gdzie była duża bieda (nieurodzajne ziemie) - w Antoniówce wtedy osiadło. Dużo ludzi z naszego powiatu tam było, ksiądz proboszcz tamtejszy chodził ze mną do szkoły. Pojechałem tam. Dobrze mnie przyjęli, miałem wszędzie otwarte drzwi. Dali mi transport i dali ziemniaki.

Z tą kooperatywą to był przypadek. Oni ogłosili, że wszystkie sklepy są upaństwowione, a do czasu ostatecznego przejęcia przez państwo ludzie mają prawo zakładania kooperatywy. Ale ci, co w nich biorą udział, będą dzielili swoje zyski i to nie będzie w żadnej mierze kapitalistyczne. To było we Lwowie w połowie października. Myśmy poszli z bratem do magistratu, żeby dostać przydział na węgiel. Staliśmy w ogonku, a obok był jakiś inny ogonek. Jakiś pan z tamtego ogonka pyta mnie: "Panie, może pan na papierosy?" Palę, miałem, rozmawiamy. Pytam, po co stoi. "To jest zrzeczenie cukierników i piekarzy, kto chce założyć kooperatywę, musi mieć stąd poświadczenie." - "A jakie dokumenty trzeba mieć?" - pytam. "Przeważnie ludzie mają świadków. Jak pan chce, to chodź pan tu, w ten ogonek. Ja panu zaraz poświadczę, jest tu i mój kolega, też poświadczym". Brat więc stał po węgiel a ja zarejestrowałem się jako piekarz i cukiernik. I to nam dało tytuł żeby te frytki robić. A jak już mieliśmy ideę, że można coś robić pseudolegalnie, znaleźliśmy pana, który miał urządzenie do wytwarzania frytek, ale je chciał wynająć, bo jak wojna wybuchła nie miał pracowników itd - i myśmy to od niego wynajęli. Jeden z naszej sódemki (było nas siedmiu) wyznawał się bardzo dobrze na inżynierskich sprawach, z zawodu był ślusarzem wodociągowym, był zdolny, zajmował się techniczną stroną naszego interesu. To wszystko wymagało inicjatywy i pracy. ~~XXXXXXXXXX~~

Wszyscyśmy pracowali. Z początku nie mieliśmy dobrej sieczkarni do płatków. Ale wpadliśmy na pomysł i kupiliśmy sieczkarnię do kiszzonej kapusty, a nasz mechanik dostosował ją do naszych celów. Świetnie szło. To był dobry towar. Klientów mieliśmy znakomitych. Fabryka czekoladek "Zalewski" (najlepsze czekoladki w Polsce, lepsze niż Wedla) miała kilka sklepów we Lwowie, ale nie mieli towaru. Porozmawiałem z kierownikiem, czy byłby zainteresowany naszym towarem (przyzwoicie opakowanym), a on: "Z przyjemnością, nie mamy czego sprzedawać". To był jeden klient. I drugi! był taki lokal śniadankowy na ulicy Legionów, znany lokal. Otwierano przed południem o jedenastej - jedna wódeczka, kanapka, kiełbasa na gorąco - prowadziła lokal Zofia Teliczka. Oni też nie mieli towaru, też brali od nas. Więcej klientów nie potrzebowaliśmy, bo więcej frytek nie mogliśmy zrobić. Był też problem, jak zdobyć torebki z pseudopergaminu, ale znaleźliśmy drukarza, który miał stos tego papieru i on nam to robił. (...) Ale wkrótce ktoś doniósł. Chyba przypuszczałem kto: sekretarka z fabryki oleju, która na tydzień wcześniej zwróciła się do mnie, że chciałaby, abym jej klientom jakimś. bardzo dobrym podobno - dostarczał połowę naszej produkcji. Ale odmówiłem: miałem już klientów.

Pracowaliśmy od początku listopada do grudnia. Mieszkaliśmy cały czas przy Mochnackiego 38. Było nas siedmiu, a czterech z nas tam mieszkało. To było duże mieszkanie. Nie mieliśmy mebli, pierwsze kilka tygodni speliśmy na meblach ogrodowych tego domu. Właściciel (dyrektor lwowskiego radia) był nieobecny, a jego żona, Polka pochodząca z ziemiańskiej rodziny spod Lwowa (pani z dwojgiem dzieci) bardzo nam pomagała i w ogóle była zadowolona, że myśmy przyszli do tego mieszkania, bo inaczej przyszliby oficerowie sowieccy.

Jak doniesiono i zrobili sąd, na moje miejsce przyszedł jakiś pan z Rabki, brat i przyjaciel zostali także, a ja z jednym kolegą - w nogi! Pojechaliśmy do Lidy. Nie było tam przyjemnie, bo NKWD miało rozgałęzione stosunki.

Ale pamiętałem nazwisko jednych państwa tam mieszkających. Ona była dentystką, on przemysłowcem. To byli Żydzi Ginsburdowie, znana tam rodzina. Zgłosiłem się do niej jako pacjent, powiedziałem jej potem o wszystkim. Powiedziała, że mąż pomoże, "tylko nie chodź pan do żadnych biur ani do synagogi". Pan Ginsburd okazał się porządnym człowiekiem (też miał rafinerie tłuszczów), powiedział, że najlepiej będzie, jak zamieszkamy poza miastem. Umieścił nas u rodziny jakiejś, płaciliśmy im nieduże sumy. Ginsburd znał właścicieli ziemskich w okolicy, bo kupował od nich rzepaki itd. Polaków, był z nimi w zażyłych stosunkach. Powiedział nam: "Jak chcecie do Wilna, to żadne grupy, żadne organizacje (były tam). Ja znam tutaj jedną rodzinę wyrzconą z majątku. Ich dwaj synowie, inżynierowie agronomi zajmują się teraz przemysłem. Za złoto skupują skóry na Litwie i tutaj ją sprowadzają. Znają świetnie teren, bo ich majątek był na obecnej granicy". Czekaliśmy z dziesięć dni. Przyjechało saniami dwóch młodych panów, przywieźli nam chłopskie ubrania, czapy - i przejechaliśmy tę granicę. Zostawili nas u jakiegoś gospodarza w stajni (była chyba druga w nocy), pożegnaliśmy się. Płaciło się za to coś 20 dolarów, pieniądze zostawiliśmy u tego pana w Lidzie. Oni nic nie chcieli od nas.

Gospodarz zaprowadził nas do karczmy, powiedział: "Idźcie na górę". Jak wyszliśmy, słabo nam się zrobiło: na górze był patrol graniczny litewski, stały, z tej miejscowości. Ale kapral (jak się okazało przyjaciel Ginsburda) podszedł do mnie: "Nie bój się pan nic - spokój!" Posłał jednego z żoknirzy, żeby nam kupił bilety do Wilna i pojechaliśmy tam.

W Wilnie było ciężko, bo nie mieliśmy pieniędzy. Do stycznia 40 roku można było z Litwy wyjechać statkiem do Szwecji, ale w styczniu Moskale położyli na to łapę. Myśmy przyjechali do Wilna 15 stycznia, za późno. Nagle rozchodzi się plotka, że konsul hollen-

derski wydaje wizy do holenderskich posiadłości w Indiach Zachodnich: Curaçao, Surinam. Każdy po tę wizę musi się zgłosić osobiście nie trzeba za nią płacić. A posiadaczom takiej wizy konsul japoński daje prawo przejazdu przez Japonię (10 dni). Konsul holenderski nie był Żydem, był właściwie konsulem honorowym, dyrektorem firmy Philips na Litwie. Miał ochotę pomóc uchodźcom. Oczywiście tłumy... Trzeba się było zgłosić w tym biurze o drugiej w nocy do kolejki, żeby się tam dostać. Dostawało się promesse, a potem do konsulatu japońskiego. Tam było znacznie trudniej, ale ten konsul też był porządny człowiek, chciał pomóc. Był konsulem w Pradze, przyjechał tu przed miesiącem, w Pradze widział nędzę hitlerowska. No i dostaliśmy te wizy. Ale teraz trzeba było mieć przejazdową przez Rosję! Jeszcze wtedy Litwa urzędowała, już był komunistyczny rząd. Poszliśmy go konsulatu sowieckiego w Kownie. Tam był taki pan (mówił trochę po polsku), którego pierwsze pytanie brzmiało: "Dlaczego chcesz wyjechać ze Związku Sowieckiego? Myśnmy wszyscy mieli jedna wymówkę: mam narzeczoną w Ameryce od wielu lat itd. (...) "Przyjdź pan za tydzień". I tak się chodziło. Nic nie wyszło z tego, nie chciał dawać. Tylko 30 osób dostało te wizy, a wiz holendersko-japońskich wydano 2300. Zmieniłi co chwila przepisy. Teraz trzeba się było zgłaszać ze starym polskim paszportem, to znów nansenowskim - wtedy się zwracało inne dokumenty i tak w kółko. Traktowano nas bardzo z góry (ja miałem paszport nansenowski). Upłynął 40-ty rok - i nic. Potem wszystkie władze litewskie zniknęły, wszystko w rękach NKWD. I to NKWD będzie wydawać exit-promess. Zaczęliśmy po nie chodzić przed Bożym Narodzeniem 40 roku. O drugiej w nocy brało się bańkę kawy albo herbaty, dwa kawałki chleba z czymś - i hulaj tam. Wojłoki na nogach i stało się czekając swojej kolejki. Ja, dziękować Bogu, doczekałem się tej swojej kolejki po upływie jakichś 30 dni. NKWD to był ładny pałacyk niedaleko katedry. W holu tego pałacyku siedziało trzech Moskali po cywilnemu. Jednego tytułowali "towarzyszem naczelniku".

Jak przyszła moja kolejka, dałem papiery, to on: "To jest wszystko fałszywe, gdzieś to kupił?" - Taki pod pięćdziesiątkę, czarny, ofensywny Moskal. Mówił trochę po polsku, ale i myśmy się już trochę do rosyjskiego przyzwyczaili. Patrzyłem na niego i myślałem: ~~Cholera~~ cholera, co ja mam na to powiedzieć? Powiem "nie", to zarzuci mi kłamstwo. Więc mówię: "Obywatelu naczelniku, dlaczego wy mnie obrażacie? Jestem człowiekiem zawodowym i jestem przyzwyczajony do tego, że jak chodzi o moje sprawy to ja mówię prawdę i nie wiem dlaczego pan mnie obraża i oskarża, że ja fałszuję, kupuję!" Popatrzył i powiedział tylko: "Pokój nr trzy!" Każdy miał tam przeznaczone miejsce na przesłuchania. Poszedłem więc do pokoju nr 3. Drwblas Moskal, 6 stóp, blondyn, nie więcej jak 30 lat, kapitan NKWD kazał mi usiąść i ogląda moje papiery. "Aaaa -mówi - nareszcie mam takiego pana, który oskarżał komunistów". Mówił trochę po polsku, widocznie z Białorusi. Ja: "Nie?" - "To coś ty robił?". Nigdy nie zajmowałem się karnymi sprawami i mówię: "Zajmowałem się sprawami cywilnymi, byłem zainteresowany kwestią ksiąg gruntowych i innymi sprawami z nimi związanymi". A on: "Co to są księgi gruntowe?" W kącie tego pokoju stała duża szkolna tablica, kreda, gąbka. Więc ja: "Obywatelu kapitanie, jak was to interesuje, to ja wam pokażę, jak to u nas wyglądało". "Rysuj" - rysowałem przez godzinę! Dałem mu cały szkic wszystkich kart, pokazałem karty ABC, osobno kartę D, prawo kopalniane itd. Słuchał uważnie: "To u nas tak nie jest". - "Ja wiem, jak jest u was". Bo księgi gruntowe w Warszawie były podobne jak w Moskwie czy Leningradzie. To, co mu opisywałem, to były przepisy austriackie i niemieckie. I on ani słowa nie rzekł o mojej wizie! Mnie już w gardle zaschło od gadania. Złożył papiery, powiedział: "Spasiba" - i poszedłem! Był tam zwyczaj, że jeśli po tygodniu czy dziesięciu dniach nazwisko ukazywało się na tablicy w holu - to znaczy że dostało się wizę. Trzeba było codziennie rano ją studiować, oglądać, bo codziennie kredą na tej tablicy robiono listę.

Oni przez jakiś czas uznawali paszporty nansenowski (bezpaszportowic) ja jeszcze nie przyjąłem obywatelstwa radzieckiego, dopiero później wszyscy musieli je przyjąć.

Po upływie dziesięciu dni była wiza. W Kownie było biuro Inturistu. Płaciło się w dolarach (UWAGA, nie wiem, czy p. Feit się nie przejęczyła mówiąc o Kownie). Za przejazd do Władywostoku w Wilnie płaciło się 220 - 250 dolarów, wtedy był to majątek. Ale daliśmy sobie z tym radę, w Związku Sowieckim trzeba zapomnieć o logice. Jeden z naszych kolegów miał wujka i ciotkę w Rydze. On był profesorem matematyki i fizyki na tamtejszym uniwersytecie, ona chyba obrotna pani. Kolega do niej napisał, poszła do biura Inturistu w Rydze i kupiła bilety, które w przeliczeniu na dolary kosztowały po dwadzieścia parę dolarów! Przysłała trzy bilety. Pojechaliśmy. Moi koledzy nazywali się: Szymon Benstein (Benzstajn), teraz chory, ale był adwokatem w Melbourne, miał bardzo dobre biuro, a drugi to Adam Z elikson, lekarz ze szpitala św. Łazarza w Krakowie.

Wyjechaliśmy 15 lutego 1941 roku. Już w Moskwie pojawiły się przeszkody. Zabraли nam paszporty i bilety. Pociągi do Władywostoku były przepełnione, trzeba było poczekać. Bilety wprowadzicie zabierali każdemu po przyjeździe do Moskwy, ale byliśmy nadzy. Mieszkaliśmy na Prospekcie Gorkija w hotelu "Nowomoskiewski Gostiniec" i wolno nam było płacić w rublach. Mieliśmy ich niedużo, ale z Wilna zabraliśmy parę pulowerów. Wlazłem do państwowego sklepu sprzedaży z takim pulowerem i ku mojemu zdziwieniu dali mi za niego kilkaset rubli! To były tam duże pieniądze, bo już za 5 rb zjadł pan niezły obiad. (Kupiliśmy najpierw butelkę wódki i wypiliśmy w parku).

Zgłaszamy się ciągle do Inturistu po nasze bilety - nikt nie wie. Główne biuro Inturistu było na Placu Czerwonym w hotelu Metropol. Chodziliśmy tam, piliśmy kawę, czekaliśmy aż to biuro otworzą. Po upływie trzech dni kelner podchodzi do mnie: "Jest pan poszukiwany, do pokoju nr ten a ten".

Str. B.

Kolegi nie prosili. Poszedłem. Wchodzę do tego pokoju, gdzieś na trzecim piętrze. Dwa biurka, siedzi pan w mundurze NKWD. I zaczyna całą historię: kto i gdzie mi kupił ten bilet? - "Nie wiem, jakiś przyjaciel!" - "Jaki przyjaciel, jak się nazywa?" Podałem mu jakieś fałszywe nazwisko. Ani paszportu ani biletu mi nie oddał. "No, zobaczymy!" - powiedział.

Następnego dnia, w piątek, myśmy się włóczyli po mieście niby to oglądając muzea i kościoły. O ósmej wieczór wróciliśmy zmęczeni do hotelu. A tu jakiś ruch: ludzie z naszego pociągu, 300 osób, dostają "plac-karty". Na pociąg do Ładywostoku! Ktoś mi mówi, że są dla całej naszej grupy! Ale jest wielki ruch, bo każą dopłacać po 60 rb, a ludzie nie mają pieniędzy, bo im powiedziano, że wszystko zostało opłacone. Widzę, że jest biurko, za nim urzędniczka, kobita, poszedłem do niej i pytam, czy mówi jakimś innym językiem, bo ja słabo znam rosyjski. Okazało się, że zna niemiecki. zaczęliśmy rozmawiać. Wyciągnąłem z kieszeni 60 rubli, ona szuka, szuka - nie może znaleźć mojego nazwiska na żadnej karcie. Bierze jeden z biletów skreśla z niego nazwisko, wpisuje moje ~~z~~ nazwisko i ~~da~~ je mi "plac-kartę"! Mówię, że mój kolega też by wziął, daje mi drugą a ja jej znów 60 rubli!

Ja do kolegi: "Szynek, szybko na górę, walizkę, jedziemy!" Paszportów nie mamy, ale nie bądnymy logiczni w Rosji. Mamy miejsca w pociągu, a co będzie dalej, zobaczy się. Mieliśmy miejsca w odrębnych wagonach. Ja byłem w ósmym i trafiłem dobrze, bo cały wagon był przeznaczony dla tzw jesziwy, szkoły rabinackiej z miejscowości Mir koło Wilna. Byłem jedynym "innym" człowiekiem w wagonie. Na razie wagony były puste, byliśmy tam już o dziewiatej. Pociąg miał odjeżdżać o dwunastej, a o jedenastej kazali przychodzić. Wy wdrapaliśmy się do pustego pociągu (jeszcze nie było konduktorek) i - hulaj na swoje miejsca, bagaż, kocyk i już. Przyszli potem ci rabin studenci, przedstawiłem się. Pytają, dlaczego jadę z nimi. "To ty-

lko Bóg wie, może wy wiecie, ale ja nie wiem nic". - "A masz jakieś jedzenie?" - "Nie". - "No to my będziemy mogli ci pomóc, bo jadamy tylko strict-koszer, nie wiemy, jak ty?" - "Nie jestem wybredny, jest wojna". - "Tylko cię prosimy, ponieważ jesteś Żydem, żebyś brał udział rano i wieczór w nabożeństwie". Proszę bardzo, z przyjemnością. (...) Oni nie chodzili do wagonu restauracyjnego, dostawali do wagonu suchy prowiant, biskwity, sardynki itp. Dawali mi swoje kupony na wszystko, mogłem jeść trzy obiady. (...)

Tak jechaliśmy jakieś 3-4 dni zanim się zjawił jakiś dygnitarz z kontrolą paszportów. I ku mojemu zdziwieniu, miał mój paszport i bilet jak wszedł do naszego przedziału! Powiedział mi tylko: "Ty nie masz biletu z Władywostoku do Cyrugi. Mogę ci go załatwić, jeśli masz dolary, funty albo franki szwajcarskie - 8 dolarów". Nawet gdybym miał, to bym się nie przyznał, bo nie wolno było mieć. "Nie mam" - mówię. - "A masz przyjaciół czy rodzinę w Ameryce? Wezmę od ciebie telegram (dasz opłatę w rublach) i oni prześlą ci przekaz do banku gospodarstwa krajowego". To dotyczyło również mojego kolegi. Dałem mu telegram do Ameryki i moi przyjaciele (w ciągu trzech dni miałem odpowiedź) przesłali 16 dolarów. O telegraficznej odpowiedzi już w biurze wiedzieli. "To za mało, my nie mamy zawiadomienia (z banku) Jak my dostaniemy zawiadomienie to ty dostaniesz bilet. A jak zawiadomienie nie przyjdzie, to biletu nie dostaniesz, będziesz czekał we Władywostoku". Ja się trochę zdenerwowałem i mówię do jednego z nich (było ich dwóch, jeden Chińczyk, gorszy, drugi Rosjanin): "Ja nie wiem, jaki ten wasz kraj, ale wasz pieniądz to gówno!" - "Co ty mówisz?" - "Robicie gówno ze swoich pieniędzy! Chcę ci zapłacić w rublach - nie chcesz!" Patrzył przez chwilę: "Dobrze, wezmę to w rublach, jeżeli nie przyjdzie zawiadomienie, to te ruble zostaną ~~xxxx~~ u mnie, jeżeli przyjdzie, zwrócę ci". Nigdy nie zwrócił, ale miałem bilet do Cyrugi.(?)

Jak przyjeżdżaliśmy do Władywostoku, była tam grupa ludzi z Wi-

Ina, których tam z różnych przyczyn zatrzymano, mimo że mieli wszystkie papiery w porządku. Oni lubili wybrać z każdej grupy paru ludzi na postrach. I ci ludzie widzieli, jak nasz pociąg przyjechał, byli na peronie, zaczęli krzyczeć: "Jeżeli macie trochę pieniędzy. jakąś odzież i wam to niepotrzebne - zostawcie!" Wysypywało się wszystko z okien! Co nam zależało? Przyjechałem do Japonii w jednej koszuli, pusta walizeczka. Wsiadliśmy na statek. Był to statek japoński pod nazwą "Amakusamaru", który przewoził robotników kuli z Szanghaju do innych miejscowości, do Kantonu m.in. Jedna platforma, piec koksowy mały, 40 stopni mrozu, żadnego jedzenia. Wielkość imperium rosyjskiego...

W naszej grupie mieszanka. Był dyrektor banku handlowego we Twowie, Schotz (Szoc), elegancki, tęgi, mówił, że umrze tu z głodu. Wszyscyśmy leżeli w nocy na podłodze, każdy się czym miał, nakrywał. Była woda do picia i na tym piecu można było sobie trochę wody ugotować. Były ze dwa kubki, ale nie było żywności. W nocy ten dyrektor mnie budzi i mówi: "Panie, jak mi chce pan uratować życie, to jest tu obok rodzina (rabin z żoną i dziećmi), ona wyje nocnik i w nocniku gotuje grysik. Ja sięgnę po grysik, ale panu łatwiej dosięgnąć nocnika....Ugotujmy trochę tego grysiku". Pan Bóg chciał, tak się stało.

Dojechaliśmy jakoś do Curugi. Tam na statek przyszli oficerowie imigracyjni. Podobnie to było jak w Anglii, ale w Japonii trzeba było pokazać w gotówce albo czekiem 60 dolarów, bez tego nie wpuszczali. Po paru godzinach na statek przychodzi dwóch panów, zaczynają z nami rozmawiać: "Ja ci włożę w kieszeń 600 dolarów dla 10 osób jak wyjdiesz stąd, zbierzesz pieniądze i dasz następnej grupie" To było z gminy żydowskiej w Kobe, mała gmina, jakieś 30 osób.

Przyjechaliśmy do Kobe pociągiem. Tam ci ludzie mieli przygotowane dla nas pomieszczenia w letnich willach. W pokoju 4 łóżka, kuchenki. Zaczęliśmy gospodarować, dostawaliśmy 1 jena i 20 sek

dziennie na swoje potrzeby, bośmy nic przecież nie mieli. W Japonii rubel nie miał żadnego znaczenia.

Siedzieliśmy w Japonii. Był tam oddział konsulatu polskiego w Tokio, tam nas rejestrowano, wydawano paszporty itd. Japończycy nie zwracali uwagi na 10 dniowe wizy, mieliśmy od nich pomoc nie w sensie materialnym, lecz stosunków z policją itp. Była tam rodzina Evansów, która uciekła z Rosji w czasie pierwszej rewolucji w 1905r. W 1917 Japonia konfiskowała wszystkie majątki Niemców i sprzedawała je na aukcji. Ojciec Ewansa był mejetny, jego ojciec kupił doki i firmę niemiecką, która do dziś istnieje w Hamburgu. Evansowie to rozbudowali, zajmowali się nami, Evans był w przyjaznych stosunkach z naszym ambasadorem Tadeuszem Romerem. Ja dostałem taką małą posesję w wydziale paszportowym naszej ambasady, już można było żyć.

W październiku 1941 roku pod naciskiem Niemiec zlikwidowano i konsulatu i ambasadę polską w Japonii. Natomiast istniało poselstwo w Szanghaju, gdzie był urzędujący poseł itd. Ambasador nasz i cały personel przenieśli się do Szanghaju.

W Japonii było trochę Polaków, którzy uciekli z Rosji po rewolucji. Przeważnie nauczali w szkołach języków: angielskiego i rosyjskiego. W Nagasaki był polski konwent, księża polscy.

Ambasador wezwał mnie do siebie przed wyjazdem: "Chcę, żeby pan tu został. Oni chcą dać pozwolenie dwóm osobom, żeby nieoficjalnie zajmowały się kolonią polską w Japonii". Zostawili nam trochę pieniędzy i zajmowaliśmy się wszystkim po trochu, pomagało się, jak ktoś był w biedzie. Żyliśmy w spokoju aż do 7 grudnia. Jak wybuchła wojna na pacyfiku, wszystkich białych internowano. Był taki dość duży hotel, tam umieścili wszystkich bez względu na rangę. Był tam np. ambasador amerykański, angielski i my wszyscy. Dawali nam gazety, wychodził tam "Tokyo-Times", dobra gazeta. Wyczytaliśmy tam, że nie powinni być internować białych, których kraje nie wypowiedziały wojny Japonii. Wobec tego napisałem list do prefektury, że rząd

Polski w Londynie, który jest legalnym rządem, nie wypowiedział wojny Japonii, wobec tego zatrzymywanie nas w tym obozie jest niesłuszne. Po tygodniu przyszedł jakiś tajniak, zaczął mnie przesłuchiwać. "No tak, wasz rząd nie wypowiedział wojny. Możecie stąd wychodzić między szóstą rano a ósmą wieczór, na noc musicie wracać! Myśmy nie mieli pieniędzy, a tu się miało mieszkanie i utrzymanie. Problem był w części załatwiony. Ale 1 stycznia dostaliśmy (my dwaj) polecenie na piśmie: wydalano nas do Szanghaju, nie ma rady. Dali nam bilety, pojechaliśmy statkiem do Nagasaki (...), a potem do Szanghaju. Jak byliśmy na pełnym morzu, statek zatrzymali na 24 godziny: w okolicy były amerykańskie łodzie podwodne. Tośmy się śmiali do rozpuku: przejechaliśmy pół świata, żeby nas przyjaciele zatopili. Ale jakoś dopłynęliśmy.

W Szanghaju mieliśmy przyjaciół, bo wiele osób z Japonii tam było. Osobiście nie miałem powodu do narzekania, wróciłem na moją stałą posadę w wydziale paszportowym w poselstwie, która mieściła się w dzielnicy francuskiej, a ta nie była okupowana przez Japończyków, bo oni z rządem Petaina byli w kontakcie.

Tam przyszła do skutku wymiana personelu japońskiego za personel aliancki na świecie. Byłem na liście. Wszystkie te sprawy załatwiała ambasada szwajcarska jako kraj neutralny. Ponieważ znałem dobrze niemiecki (przypadkiem prawie jedyny), byłem łącznikiem z ambasadą szwajcarską. (...) Szwajcarzy mieli nawet własną farmę koło Szanghaju, dostawałem od nich pół funta masła co tydzień. Chodziłem z papierami, załatwiałem sprawy poszczególnych ludzi.

W ten sposób wydostaliśmy się z Dalekiego Wschodu - japońskim statkiem. Dopłynęliśmy do Lourenço Marques w Południowej Afryce. Tam była wtedy władza portugalska. Spędziliśmy tam ok. dwóch tygodnie. Niektórzy mieli wizy do Ameryki albo Kanady. Ci zostawali i czekali na transport. Można było jechać do Ugandy, dawali ludziom trochę wyboru. Cała grupa wymienianych to było ok. tysiąca osób z czymś, w tym 30 Polaków. Jakieś 40 osób uchodźców i personel ambasad.

Dojechaliśmy po różnych tarapatach do Liverpoolu w październiku 1942 roku. Stąd do wojska do Szkocji, Pierwszy Korpus. Ja nawet nie-
źle tam wylądowałem. Stałem w ogonku po przydział, ktoś mnie z tyłu
uderza w ramię i słyszę: "Leon, Leon, ja tu już na takiego czekam
rok!" Okazało się, że to jeden z kolegów, z którym studiowałem. Był
sędzią wojskowym, teraz szefem wydziału prawno-administracyjnego
Pierwszego Korpusu. "Chodź z tego ogonka" - wziął mnie do biura, po-
szedłem. Przez pewien czas pracowaliśmy w Sądzie Okręgowym w Krakow-
wie, tak że z punktu widzenia pracy znaleźliśmy się troszeczkę! "Słu-
chaj, ja tu mam ludzi, którym ciężko pisać, muszą pracować"... itd
Jeszcze munduru nie miałem, nic - a już się organizowało. Cały czas
byłem w tym Wydziale. Przeprowadzało się tam wszystkie postępowania
spadkowe po zmarłych i zaginionych żołnierzach, postępowania doty-
czące udzielania zezwoleń na małżeństwa (każdy, kto się chciał w ~~sz~~
Szkocji żenić musiał mieć zezwolenie) i różne sprawy opiekuńcze.
Były całe rodziny, które przyjechały z Rosji itd. Poza tym, ponieważ
się trochę angielskiego poduczyłem - jeżeli ktoś został aresztowany
za jakieś przestępstwo lub wykroczenie - występowałem w sądzie szko-
ckim.

W Japonii brałem udział przy robieniu księgi zawierającej spis
Polaków wywiezionych do Rosji. W czasie, kiedy się to robiło, było
tam około 2500 uchodźców. Robiło się to tak, że każdy z nich dostał
kwestionariusz i myśmy przesłuchiwali tych wszystkich ludzi. Poda-
wali nazwiska wywiezionych, miejscowości itd. Robiło się zestawie-
nia alfabetyczne uzupełnione danymi. Znaleźliśmy dwóch panów, któ-
rzy byli zawodowymi litografami, bardzo kulturalnych, bo nie można
było znaleźć drukarni z czcionkami polskimi. A przecież nawet kaciń-
skie nie zawsze by oddały brzmienie nazwiska. Było to wszystko tru-
dne i bardzo drogie. Była to żmudna robota, ten materiał. Bo żeby
to potem wydrukować z gotowych płyt litograficznych - to już nie
był dylemat. Pod tym względem Japończycy byli na poziomie. Finansow-

wo przyczynił się do tej sprawy pan Evans.

Skąd miałem wiadomości o rodzinie? Do Japonii listy z Rosji dochodziły z trudem, ani jednego listu nie dostałem do Japonii. Wyjeżdżając z Wilna, za poradą przyjaciół zrobiłem duże paczki, zapakowałem i wziąłem ze sobą jakem wsiadał w Wilnie. (...) Nie miałem "plac-karty", która w systemie rosyjskim jest konieczna, ale jakoś wdarłem się do pociągu. Naprzeciw mnie siedział jakiś pan, który okazał się sympatycznym Żydem z Mińska. Jak była kontrola, wyszedł za konduktora^{my} i prawdopodobnie go przekupił. W W Moskwie w hotelu patrzyli na mnie jak na wariata, bo te paczki to były zwyczajne worki z trokami. Ufny poszedłem na pocztę - nie przyjmują żadnych paczek. A były w nich rzeczy, które kupiłem w Wilnie, żeby wysłać do rodziny na Syberię, gdyż do Wilna dostawałem od nich regularnie lity z zesłania, znali mój adres (byli zesłani w czerwcu a już od sierpnia pisali). Z poczty poszedłem na kolej - nic. Ale byłem uparty: nie wyrzucę tego! I jechałem z tymi worami do Władywostoku. Tam w punkcie celnym facet mi mówi, żebym to rozpakował, ja na to, że chcę to zostawić w Rosji itd. (...) Wchodzi jakiś urzędnik kreatura, zaczyna na mnie krzyczeć, tamten za ten czas wyrzucił mnie z kolejki i obsługuje innych. Wtedy podchodzi kierownik tej sali, oficer NKWD, zaczyna mnie wypytywać, ja mu łamanym rosyjskim tłumaczę, że adresatka jest moją narzeczoną itd (powtarzam zmyśloną historię) że chcę jej pomóc. Zawołał gościa z Inturistu i polecił mu wziąć te paczki ode mnie. Ale jak wszedłem do kontroli celnej, wszystkie ruble trzeba było wyłożyć - konfiskowali. Już nie miałem pieniędzy (na opłatę). Ten przyjazny oficer NKWD dał mi jakiegoś Mongoła z karabinem, który poprowadził mnie do pociągu (dobry kilometr). "Bracia, nagle ruble mi są potrzebne!" - wysypali z okien pieniądze, zbierałem ile mi trzeba było (a i do Mongoła mówię, żeby sobie zbierał, wykorzystał okazję). Żądali za tę przesyłkę 150 rb, a ja już miałem z 1000. Wróciłem, zapłaciłem, dali mi kwit. Paczki doszły częściowo okradzio

zwłaszcza te, które zawierały żywność (było tam trochę czekolady, smalcu, bańka oliwy itp). Nawet te 150 rubli opłaty przesłali rodzinie na Syberię! To jest rosyjska administracja...

W momencie kiedy opuszczałem Lwów, stosunki narodowościowe były takie: Ukraińcy dominowali faktycznie, ale starali się zachowywać niby spokojnie, bo władze sowieckie bardzo uważały, żeby nikogo nie przezywać ("Ty jesteś Żyd, ty Ukrainiec, ty Polak"). Polacy raczej siedzieli cicho, widzieli grożące im niebezpieczeństwo. Stosunki między Żydami a Polakami ówczesnie nie były złe, powiedziałbym nawet, że dobre. Żydzi doceniali niebezpieczeństwo, nie lubili władzy sowieckiej (oczywiście byli Żydzi komuniści i Polacy komuniści), tak że nie było specjalnych scysji ani w Tarnopolu ani we Lwowie. Przykre sytuacja była...nie żeby Polacy chcieli ukrywać swoją narodowość, ale siedzieli cicho, bo wiedzieli, że władza jest przeciwko nim. No i ta pacyfikacja Tarnopola...